

Pogawędka niedzielną

# Podróż i lektura

Powiedzenie „podróż kształca” stało się już przysłowiem, powiódź zaś „kolacz o paszport za granicę, a będzie ci odmówiono” — stało się rzeczywistością. Ta symbioza przysłówia i prawdy dość powszedniego sprawa, że od bywamy wozaje niezbyt dalekie i niezbyt pouczające... Marząc np. o Hiszpanii, udajemy się do... Milanówka; brnąć po błocie Zielonki, w myśli mijamy Plac Wenecki w Rzymie.

Trudno: Podobno pierwszym warunkiem szczęścia jest umiejętność przystosowywania się do warunków. „Point de réveries, mes-sieurs, point de réveries!”

Jako człowiek niewymagający nie życzę sobie na dzisiejsze stosunki, rozumiejąc, że nieby mi to nie pomogło, ale radzę sobie, jak umiem. Gdy przyjdą święta albo ferje, wciśnię pokornie kapelusza na głowę, pakuję do walizki dwie, trzy książki podróżnicze i ustawiam się w ogonku przy kasie biletów na pociągi dalekobieżne.

Ostatnio kupiłem bilet, opiewający na 322 kilometry, a na drogę zopatrzyłem się w cieniutką, lecz bardzo ciekawą książkę Konstantego Srokowskiego: „Na czerwonym Olimpie”.

Z dumą mogę wyznać, że tym razem mój system nie zawodził w zupełności i że odbyłem drogę pouczającą.

Miarowy, jednostajny stukot wagonu; uciekające w popłochu przed pociągami stopy telegraficzne; pola i lasy zapadające się momentalnie w przestrzeń tuż przy torze, oraz wyginające się wolno a leniwie okolice przy - horyzontale — wszystko to uspadało do rozmajanych i refleksyj. Ot, trzyma się książkę w łapie, trochę czyta, trochę wygląda przez okno i duma o wszystkim i niczem... Przytem już samo odwracanie się od codziennych warunków nastroja filozoficznie, a zmiana otoczenia zrządza, że to, co człowiek poczytywał za normalne i zgodne ze zdrowym sensem, wykoszlawia się naraz w kształty dziwaczne i groteskowe.

Któż z mieszczuchów, zagluszonych wyteżoną pracą, zdaje sobie sprawę, że warunki bytu w mieście są właściwie czemś potwornym i niezgodnym z naturalnymi prawami życia? Prawie nikt! Zalatany, zziębnięty mieszkaniec miasta winduje się codzień na któreś tam piętro do klatek, zwanych mieszkaniem i uważa, że wszystko jest w porządku.

Dopiero gdy odetchnie innem powietrzem, gdy oczy niekrepowane szaryszną murów, błagają jak wolne ptaki po szerokich polach, spostrzeże całą groteskowość i bezsens tych dziwacznych skupisk ludzkich, które zwymyśla miastami... Dopiero łaząc bez celu wśród wolnej przestrzeni, rozumie, że te bezustanne węzowe prumy, jakie wycyznia, mijając tramwaje, taksówki i dorożki, nagłony do pośpiechu wrzaskiem klaksonów i

dzwonków, że — słowem — cały jego pośpiech jest czemś urągającym najprymitywniejszemu prawu człowieka do skupienia się i kontemplacji... Dopiero tam — na prowincji — czuje, że prawdziwie wolna ludzkość za lat setkę lub tych setek kilka urządzi sobie życie zupełnie inaczej. Nasze pra i pra-pra-wniki będą oglądać takie dziwactwo jak kilkopiętrowe domisko jedynie w muzeach osobliwości...

Wyobrażam sobie, jak pyzaty pra-pra-wniko zakrzuci się śmiechem, gdy „cicerone” wprowadzi go na piąte piętro do trzechklatkowego mieszkania i zacznie objaśniać:

— W roku 1936-ym cała rodzina gnieździła się w takim lokum, mając pod sobą, nad sobą i obok siebie inne rodziny. W każdym z tych mieszkań, proszę Prawnusia, było radio na inną melodię, łapiąc muzykę z coraz innej stacji... Prócz tego wrzeszczały jaszczce gramofonu, a gdzieś tam awanturowali się urzędnicy w kij sublokatorzy.

— Oj-ej!...

— Mało tego! Po schodach łazili jak biedronki inni pijani, próżno usiłując trafić do swych mieszkań.

— Nie może być!...

— Napewno! Wiem to od nieboszczyka dziadka, któremu opowiadał pradziadek.

— W takich warunkach mieszkali i pracowali! — mruknął słuchający i dodał na zakończenie: — Nic dziwnego, że wydali tak cudacką cywilizację.

Jadąc w postukującym miarowo wagonie, usiłowałem się wcielić całkowicie w pra-pra-wnika i odgadnąć jego światopogląd. Nie wiem, czy mi się to udało, lecz przypuszczam, że przynajmniej do pewnego stopnia przeniknąłem jego myśli. Przyszłe pokolenia dziwili się będą przedawszystem temu, że na przełomie XIX i XX wieku miasta narzucały swą ideologię ludności wiejskiej. Przecież to jest dziwne, że chora nerwowo i histeryczowana inteligencja wielkomiasta prowadzi zdrowemu odłamowi bliźnich.

Nikt nie wyobraża sobie dzisiaj życia wiejskiego jako sielsko - anielskiej rozrywki. Wiemy o nędzy, panującej na prowincji, wiemy o twardym losie ludności, lecz nie da się zaprzeczyć, że zdrowie duchowe i fizyczne zachowa raczej ten, co zmaga się z siłami przyrody, stykając się z nią oko w oko — niż ten, który wiosnę obserwuje przez zakurzone szybki, dziwiąc się suchotniczemu drzewku w ciemnym podwórku.

Mimo to okres przełomu wieków XIX i XX jest okresem prymatu myśli wylęgłej w miastach, czyli prymatu myśli burżuazyjno-mieszczanek. Jeśli zachodzi dziś jaka różnica w światopoglądach Wschodu i Zachodu, to po-

lega jedynie na tem, że burżuazja na Zachodzie utrzymuje ustrój kapitalistyczny, a na Wschodzie mieszczaństwo zabija wiesz z jej osiadłą kulturą w imię socjalizmu. Socjalizm bowiem jest nieodłącznym synem burżuazji i światopoglądem mieszkańca miasta. Wprost nie do pomyślenia byłoby wykombinować go w ustroju rustykalnym czy ustroju o przewadze wsi nad miastem.

Marks, ten stary brodaty burżuj - mieszczanin, żył w czasach gwałtownego uprzemysłowienia się Europy i wzrostu znaczenia miast. O wsi słyszał zapewne od dalekich krewnych lub „gojowych” przyjaciół. Koncentracja kapitałów przemysłowo - handlowych tak mu przesłoniła świat, że zjawisko przypadkowe wziął za stałe i przeniósł żywym stosunki miejskie pewnego historycznego okresu na wieś. Dużo rozpowiadał o koncentracji ziemi, o powstawaniu fortun - latyfundiów. Tymczasem życie - fi-glarz nad figlary — zakpiło sobie ze starego mieszcza i zamiast koncentracji dało... parcelację. Zdawałoby się wobec tego, że błędna teoria agrarna Marksa zginie śmiercią naturalną. Tymczasem tak nie jest.

Dlaczego?

Bo burżuazja zarówno kapitalistyczna, jak socjalistyczna w swej dumnej zarozumiałości prawdziwych mieszcuchów nie dostrzega wsi, jej odmiennych potrzeb, interesów, konieczności...

Kilkunastu ponurych fanatyków z moskiewskiego Kremla rozwija nieprawdopodobną energię, żeby wprowadzić w czyn ekstrakt myśli mieszczańskiej. Posępne typy kremlinśkie — tak plastycznie przedstawione przez K. Srokowskiego we wspomnianie książce — sądzą, że uszczęśliwiają całą ludzkość. Jak to „uszczęśliwienie” wygląda na wsi, wiemy choćby z książki Szolochowa „Zorany ugor”.

Pamiętam, że pracowałem w pewnej instytucji, gdzie snuła się cicha, spokojna, wiecznie zamysłona koleżanka. Ile razy miała wolną chwilę, przysiadła gdzieś na uboczu i zawzięcie czytała. Kiedyś przysunąłem się do niej w chwili, gdy trzymała rozłożone na stolek „Wiadomości Literackie”. Dostrzegłem w rubryce recenzji tytuł: „Zorany ugor”. Ponieważ przed kilku dniami skończyłem lekturę tej książki o złowrogiej rzeczywistości wsi rosyjskiej, spytałem:

— Czytała pani Szolochowa?

## Cła i monopole

Tymczasowe kierownictwo departamentu cel i monopolu w Ministerstwie Skarbu powierzone zostało, po ustąpieniu dyr. Zaremby, p. Kornewi Zubrzyckiemu.

— Tak.

— I co?

Na to koleżanka rzuciła swym cichutkim głosem:

— Okropne! Ta książka miała mnie zaagitować. Dał mi ją ktoś, komu na tem zależało... Skutek zaś wprost przeciwny. To straszne, co oni tam wyprawiają.

Nie każdy jednak umie zdobyć się na sąd obiektywny. W powietrzu unosi się czad snobizmu komunistycznego. Socjalistyczne mieszcuchy nawet podczas przemierzania pociągami obszarów rolniczej Polski nie potrafią myśleć agrarnie i rustykalnie, lecz kombinują sobie po mieszczańsku.

Jan Waśniewski.

## Na ekranach

### „RÓŻA” W KINIE „BALTYK”

Przerabianie wybitnych dzieł literackich na obraz filmowy polega przeważnie na dyskutowaniu dla filmu rozgłosu, jaki uzyskała książka. Częstą splendoru zdobytego przez arcydzieło pisarza, usiłuje się okryć film, na afiszu wielkie nazwisko literackie ma filmowi otworzyć kredyt u publiczności.

Dość typowe pod tym względem jest sfilmowanie „Róży”. W istocie rzeczy film z „Różą” Żeromskiego ma bardzo mało wspólnego. Miłość Jana i Krystyny zamienia się w filmowy epizod miłosny, typ Anzelm mógł powstać równie dobrze bez udziału Żeromskiego, jak i cała ta bardzo już ograna historia „walki z caratem”. Gdy otrząśnięmy się z sugestii, jaka narzuca tytuł, każąc wiązać film z poematem dramatycznym, okaże się, że sfilmowana „Róża” jest jednym więcej filmem z potokującego u nas cyklu policmajstro-kozałki. Tak i w „Róży” nie było potrzeby filmować.

Film zagubił niemal wszystko, co jest fantastycznością „Róży”, jej poetyckim urokiem, a cenzura dopomogła w zatraceniu drugiego istotnego pierwiastka — treści społecznej. Pozostała więc tylko sama akcja, bardzo luźna i zlepiena z oderwanych fragmentów.

Po tych koniecznych zastrzeżeniach, trzeba z uznaniem podkreślić zalety nowego filmu reżyserji Lejtesa. W film włożono wiele rozumnej pracy. Gdyby nie temat, niefortunnie wybrany i realizowany, można uniknąć zarzutów i pozostałoby wtedy same, rzetelnie zasłużone, pochwały.

Po pierwsze jest to jeden z niewielu filmów krajowych z prawdziwego zdarzenia. Po drugie — film jest kulturalny, nie goni za tanimi efektami, unika naiwnego i ordynarnego patosu pseudo - patriotycznego go. Po trzecie — opracowanie reżyserkie, gra aktorów, fotografia (Steinwurz) i udźwiękowienie — na poziomie europejskim.

„Róża” jako film sprawia przyjemność wzrokową. Harmonijnie skomponowane zdjęcia, płynnie się wiążą, niema tu zwykłego w polskich filmach „grochu z kapustą”. Poszczególne sceny zwieźle, zwarte, mocno wrośnięte w akcję, dobrze łączą zadanie tłumaczenia akcji z symboliczną wymową wydarzeń. Scenariusz, jeśli zapomnieć o niezgodności z tekstem „Róży”, został ułożony zresztą i można mu nawet darować happy-end Krystyny i Jana.

## Z muzyki

## Koncert symfoniczny

Gość z Finlandji Mikołaj van der Pals, kapelmistrz ubiegłego piątkowego koncertu w Filharmonji, jest dobrym i czujnym muzykiem, panującym w pełni nad orkiestrą i znającym swój fach gruntownie.

W programie koncertu umieszczona została rzadko grywana IV Symfonia R. Schumanna (w redakcji Weingartnera) dzieło o wielkim polocie romantycznym i genialnych koncepcjach muzycznych, grzeszące jednak wybitnie nie-orkiestrową fakturą. Styl tej symfonji przypominał żywo, dzieła fortepianowe Schumanna, robiąc wrażenie instrumentowanego na orkiestrę utworu pianistycznego.

Djamestralnie przeciwny charakter i zacięcie typowo „symfoniczne” miały 3 fragmenty orkiestrowe z opery „Kitej” R. Rimskij-Korsakowa, wielkiego mistrza palety instrumentalnej. Gatunkowo nie sięgająca wyżyn schumannowskich muzyka jego tętni jednak pełnią życia orkiestrowego, mieni się tysiącami barw, łśni bogactwem pomysłów i frapuje oryginalnością zwrotów i zestawień harmoniczych. W genialnych partyturach Rimsija-Korsakowa tkwi klucz rozwoju współczesnej muzyki symfonicznej: wystarczy przypomnieć, że uczniami jego byli J. Strawiński i O. Respighi. Wiekopomną zasługą R.-Korsakowa jest stworzenie podwalin rozkwitu narodowej szkoły rosyjskiej w muzyce: tak rdzennie, głęboko rosyjską jest jego twórczość, rasowa w każdym calu, odrębna w swej koncepcji, konglomerat artystyczny wschodniej słowiańszczyzny z duchem Wschodu.

Jakże odmiennie brzmiał potem poemat symfoniczny naszego znakomitego symfonisty Mieczysława Karłowicza „Stanisław i Anna Oświęcimowie”. Świetna kompozycja o europejskim pokroju, nie mająca jednak w sobie nic prawie oryginalnego, odrębnego, indywidualnego — wyróżniającego się chyba jedynie charakterystycznym dla twórczości Karłowicza duchem głębokiego pesymizmu i tragicznej rozpacz. Pokrewieństwo „Oświęcimów” z poematami strawoskimi i ze stylem wagnerowskim jest aż nadto widoczne.

Uwertura Sibeliusa „Burza”, w założeniu dobrze pomyślana orkiestrowo miała za mało właściwej muzyki, a za dużo ilustracyjnego nastroju.

Ida Hendłówna, młodociana skrzypaczka odegrała koncert skrzypcowy (A-dur) Mozarta, zdumiewając, jako cudowne dziecko, swą dojrzałością artystyczną, pięknym tonem, inteligentną interpretacją i opanowaniem trudności technicznych. Co z niej wyrośnie, kiedy z „wunderkinda” zamieni się w normalną dojrzałą skrzypaczkę — pokaże przyszłość. Michał Kondracki.

## Sluby przez telefon... w Ameryce

W wieku radja i samolotów można się spodziewać różnych rzeczy. W U. S. A., gdzie tempo jest hasłem dnia, rozmaici snobi i snobinetti wymyślili dla siebie nowy sposób zawierania ślubów, ultraszybki i ultraprosty... przy użyciu telefonu. Zdarzało się nawet dość często, iż dzwonek telefonu budził o późnej godzinie nocnej urzędnika stanu cywilnego ze snu.

Zaspany nieborak dowiadywał

się, iż pan Iks i panna Ygrek (oraz dwaj świadkowie) gotowi są połączyć się węzłem małżeńskim i proszą o wniesienie do ksiąg takich to i takich danych oraz o wypisanie dla nich dokumentów. Rad nie brał urzędnik za pióro i pisał, co mu dyktowano przez telefon.

Praktykom tym położył jednak kres wyrok sądu w Chicago, na mocy którego śluby, zawarte przez telefon stają się nieważne

## Z plastyki

## Zbiory dr. Jana Popławskiego

W salach Muzeum Narodowego w Al. 3-go Maja otwarta jest wystawa obrazów ze zbiorów dr. Popławskiego. O charakterze tego zbioru, oraz o fakcie zakupienia go przez Zarząd Miejski m. st. Warszawy dla Muzeum wiedzą już czytelnicy z informacji prasowych. Ponieważ ta kolekcja jest rezultatem zamilowań i pracy całego życia niedawno zmarłego zbieracza, z zawodu lekarza, warto się zainteresować jego osobą, a także zastanowić się nad tem, jaki z takiego miłośnictwa dla ogółu płynie pożytek?

Jan Popławski urodził się w 1860 roku w Czyście, na Syberji. W Rosji się kształcił, tam też ukończył medycynę, w międzyczasie studiując dwa lata na Uniwersytecie Warszawskim. Po ukończeniu studiów, osiedlił się w Petersburgu i tu wkrótce wyrobił sobie dużą praktykę, jako doskonały specjalista od chorób wewnętrznych i nerwowych. Dzięki temu uznaniu, oczywiście, posiadał odpowiednie środki pieniężne i mógł swej szlachetnej pasji czynić zadość. Zbieractwo rozpoczął w 1885-ym roku.

Był w tym czasie w Rosji dwa rodzaje zbieraczy: jeden stanowił bogaci kupcy rosyjscy, o ambicjach zakrojonych często na bardzo szeroką miarę; do drugiego rodzaju należeli ludzie, pokroju dr. Popławskiego. Pierwsi rozporządzali olbrzymimi sumami pieniężnymi, drudzy gromadzili nieraz b. cenne kolekcje, a osiągnięte rezultaty zawdzięczać nie daleko skromniejszemu zasobom pieniężnym, lecz przedewszystkiem wytrwałym poszukiwaniom, doskonałemu znawstwu i swojej pasji zbierackiej.

Takim właśnie zbieraczem był dr. Popławski. Oczywiście czasem jego wiedza zbieracka coraz bardziej się pogłębiała, do czego przyczyniali się również wyjazdy zagranicę i pilne zwiedzanie europejskich muzeów oraz wycieczek galerij obrazów. Po kilkunastu latach, przy jednoczesnym ciągłym rozszerzaniu zasobu swoich wiadomości z zakresu historii sztuki, stał się dr. Popławski prawdziwym znawcą. Dzisiaj — jak to słusznie zauważył dr. Jan Żarnowski, autor katalogu wystawy — takich zbieraczy już niema.

Czem sobie w takim razie wytłumaczyć fakt, że niektóre antykwaryaty warszawskie opierają swą działalność niemal wyłącznie na handlu starymi obrazami?

(W ogłoszeniach tych antykwariatów jakże często spotykamy zwrot: obrazy starej szkoły). Nieśwety ci, co je dziś kupują, to przeważnie snobi, lub dorobkiewicz, a w najlepszym wypadku amatorzy, bardzo skromną uprawniający orientację w zakresie malarstwa. Ci wszyscy leżą przedewszystkiem na „firmę”, nazwisko, podpis. Jeśli wierzą w autentyczność podpisu, zasugerowani nim, zobaczą w obrazie, co tylko dusza zapagnie, choćby ten był zedytowanym bohomazem. To też antykwaryusze także patrzą tylko na podpis; wartość artystyczna obrazu, jako takiego, niewiele ich wzrusza. Bogiem a prawdą niewielkie też o niej zazwyczaj mają pojęcie.

Za czasów dr. Popławskiego (w Petersburgu) było inaczej. Wprawdzie antykwaryusze nie zawsze mieli pojęcie o tem, co sprzedają, zato znawcami byli zbiercy. Podpis nie decydował, bo go przeważnie na obrazie nie było; najlepszy dowód, że wśród 95 malowideł z kolekcji Popławskiego tylko kilkanaście posiada podpisy. W liczbie niepodpisanych dzieł jest spora część naj-

lepszych dzieł zbioru. Zbieracze ówczesni kierowali się przede wszystkim wartością obrazu.

Na treść kolekcji Popławskiego nie bez wpływu pozostało środowisko, w którym zbierał. Zbieracze rosyjscy interesowali się przede wszystkim malarstwem holenderskim XVII wieku i w tym też kierunku prowadzili swe poszukiwania. Wskutek takiego popędu, odpowiednio też ukształtowała się na rynku antykwaryjskim i podaż. Antykwaryusze byli zainteresowani w tem, by wynajdować dzieła szkoły holenderskiej, bo te najchętniej nabywano. To też w kolekcji dr. Popławskiego najwięcej widzimy Holendrów i Flamandów. Ponieważ właściciel zbioru pragnął umiejętnym doborem uwydatnić ciągłość rozwoju tego malarstwa, przeto starał się o dzieła z różnych okresów czasu pochodzące i zgromadził jego przykłady od końca XV-go wieku począwszy, aż do XVIII-go stulecia.

Malarstwo włoskie, hiszpańskie i francuskie reprezentuje w tym zbiorze kilka dzieł, zato przeważnie b. dobrych, jak np. portrety włoskie: weneckiego admirała i kremonskiej malarzki Sofonisby. Wogóle kolekcja ta zawiera kilka tegich portretów: „studjum mężczyzny” Ferdinanda Bolla, ucznia Rembrandta, „portret mężczyzny

w zbroi” Joesta Sustermana, „Autoportret” Rigauda i inne. Obok nich należy postawić kilka obrazów, sądząc z tytułu — treści religijnej, lecz właściwie scen rodzajowych, na tle pejzażu, np.: „Kazania św. Jana”, jedno — Mostaerta, drugie — D. Vinckeboonsa. Ozdobą wystawy jest szkic kompozycji p. t. „Chrystus dźwigający krzyż”, pendzla Rubensa.

Lecz oprócz tych dzieł ciekawych i wartościowych pod względem artystycznym, których część tylko wymieniałem, spotykamy tu nierzadko obrazy zupełnie pośledniej wartości. Aby zrozumieć, jaką też może być ich rola w tym zbiorze, trzeba sobie zdać sprawę z tego, komu obcowanie z podobnym zbiorem przynosi pożytek (o czem wspominałem na początku). A więc publiczności, zwiedzającej wystawę, dostarcza ona wzruszeń natury estetycznej; nad znaczeniem tych wzruszeń dla kultury plastycznej ogółu nie trzeba chyba się rozpisywać. Także obcowanie współczesnego artysty z dawnym wartościowym dziełem plastyki jest zawsze połączone z korzyścią i nauką. Tym obu kategorjom widzów oglądanie lub studjowanie dzieł miernych korzyści żadnej nie przynosi.

Natomiast potrzebne są one uczonym badaczom i historykom

sztuki, gdyż dla oceny kultury jakiejś epoki niezbędne jest poznanie wszystkich jej przejawów, a nie studjum tylko jednego, chociażby najwspanialszego odcinka twórczości. Między tego rodzaju kolekcjami, realizowaną z myślą o jej późniejszym wcieleniu do zbiorów publicznych, a zbiorem prywatnym, istnieje podobna różnica, jak między wielką biblioteką publiczną i biblioteką prywatną. Ja np. interesuję się literaturą piękną w najwytworniejszych wydaniach drukarskich XVIII-go wieku. Jakież liche romansidło z tego czasu, niedbale drukowane, uważałbym w swej bibliotece za balast. Ale historyk literatury z ilości i rodzaju takich romansidła odbuduje pewną połac dawnego życia, której wizerunku napróżno szukałbyś w arcydziełach. Zbiór prywatny, gromadzący zabytki przeszłości, może poprzestać na odtworzeniu obrazu najpiękniejszego, zbiory publiczne muszą dążyć do — najpełniejszego. Oczywiście nigdy nie trzeba przesadzać.

Zarząd Muzeum uczynił wszystko, by wystawę zwiedzającym jak najbardziej uprzyjemnić; wstęp kosztuje 25 gr., w niedzielę — 10 gr. Na wystawie znajdują się przewodnicy, którzy udzielają objaśnień. Katalog zbioru znakomicie opracował dr. Jan Żarnowski. Wiktor Podolski.